Nr. 3. Kraków, niedziela, 4. stycznia 1903. Rok II.

KURYER KRAKOWSKI

Przedpłata wynosi:
w Krakowie miesięcznie 1 korona
kwartalnie 3 „
na prowincyi miesięcznie 1 k. 40 h.
kwartalnie 4 k.

Ilustrowane pismo codzienne dla wszystkich.

Numer pojedyńczy 3 ct.

Ogłoszenia po 20 hal. za wiersz petitowy.

„Kuryer“ wychodzi codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych o godzinie 2 popołudniu.

Adres Wydawnictwa:
Kraków, ul. Karmelicka l. 7. — Nr. Telefonu 494.

Redaktor:
KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ.

Ostatnia spowiedź.



(Opis wewnątrz numeru na str. 9).

Kraków, 3 stycznia.

Ciesz się Austryo! — ugoda z Węgrami zawarta!

W taki ton uderzają prawie wszystkie niemieckie dzienniki, a za niemi organy ludów „mniejszej wartości".

Czego się jednak ta drukowana „opinia" cieszy, dotychczas jest tajemnicą. Nikt nie zna warunków, na których ugoda stanęła, a wiadomo, że kiedy dwie strony się godzą, zazwyczaj jedna robi lepszy interes, a często druga za tę ugodę płaci. Nie mamy zaś żadnej pewności, że tą drugą stroną nie jest Cislitawia; owszem, znając naszych „bratanków", prawie ręczyć możemy, że przeważne korzyści ugody będą po ich stronie.

Wogóle cała ta sprawa ugody, na nas, co się nie uważamy za wielkich polityków, czyni wrażenie dobrze odegranej komedyi.

Co miesiąc, co dwa miesiące, poruszano opinię wieściami o rokowaniach ugodowych. To Szell przyjeżdżał do Wiednia, to dr. Körber jeździł do Budapesztu. Jeździli i inni ministrowie, brał udział w konferencyach min. Gołuchowski. Pojedyńczo, lub razem otrzymywali „ugodowcy" audyencye. Ciągnęło się to i ciągnęło, a końca nie było. Już, już, stawała ugoda — w tem znowu była rozerwaną. Prosił o dymisyę Szell, prosił dr. Körber i to pono nie raz, ale po kilka razy. Trudności się piętrzyły, to znowu ginęły. Przez czas tych konferencyi można było zawrzeć ugodę, lub pokłócić się z całą Europą.

Otóż te obopólne zabiegi obu pp. prezydentów, ta ich kolosalna praca, ta potężna walka na spryty i rozumy, wydaje się nam bardzo podejrzaną. Wygląda nam raczej na sprytną robotę, której celem było pokazanie obu połowom monarchii, jakich zbawców posiadają.

Pan Szell z tryumfem oświadcza, że zwyciężył — jako zwycięzcę, bohatera, przyjmuje go węgierska partya liberalna.

A o drze Körberze tak pisze „Fremdenblatt:"

„Z niebywałą jeszcze w Austryi wytrwałością i uporczywością — bronił dr. Koerber interesów Austryi. Walczył o nie na wszystkich owych niezliczonych pozycyach, na których postawiła go konieczność utrzymania handlowo-politycznej jedności, oraz wspólnej taryfy cłowej. W Budapeszcie, w Wiedniu i w Iszblu, wszędzie był niezmordowanym rzecznikiem interesów austryackich, austryackiego przemysłu, od którego starał się odwrócić grożące mu niebezpieczeństwa, co mu się też niezawodnie powiodło. I walka ta trwała aż do progu nowego roku. Teraz nareszcie skończyła się i ustała. Wszyscy zwolennicy wspólnego ekonomicznego terytoryum cłowego, wszyscy zwolennicy ekonomicznej jedności monarchii, powitają wieść tę z uczuciem wdzięczności dla dra Koerbera. Nie wątpimy też, że zdołał on ochronić interesy Austryi, mianowicie jej przemysłu od wielkiego upośledzenia, i że ogół z równem po obu stronach zadowoleniem będzie mógł powitać koniec walki".

Jednocześnie telegram donosi, że dr. Körber, wracając po „zwycięztwie" od monarchy, wyrzekł do ministra Boehm-Bawerka: „Tego dnia nie zapomnę nigdy!"

Naturalnie na giełdzie niebywała haussa. Nowy Sobieski ocalił Wiedeń i Austryę.

Jak ją jednak ocalił, powtarzamy, niewiadomo. Ba! obaj prezydenci i koledzy ich ministeryalni „dali sobie słowo honoru nie wyjawiać warunków ugody wcześniej, nim przedłożenia będą gotowe". Tak twierdzą telegramy.

Wprawdzie dzienniki angielskie popełniły niedyskrecyę, odsłaniając część tych warunków, niezbyt pomyślną dla Cislitawii, — ale wiedeńskie telegramy zaręczają, że to plotki. Usłużne są te telegramy.

Cieszcie się więc narody, choć nie wiecie z czego.

Skromne uwagi.

VII.

Posagowcy.

Niejeden z czytelników słyszał zapewne nieraz w różnych salonach, w jaki sposób młodzież męska na wieczorach, rautach i balach „taksuje panny na wydaniu". Nie pytają o pochodzenie, dom, rodzinę, o zalety i umiejętności panny, lecz ile będzie miała posagu.

Ta ciągła rachuba, te cyfry, padające z ust młodzieży, robią wrażenie, jak gdybyśmy znajdowali się na jakiemś targowisku przedmiotów.

Nieraz też młodzieniec całą swą przyszłość, całą karyerę życiową opiera wyłącznie na bogatym ożenku. Ta myśl, że musi się bogato ożenić, aby sobie zapewnić szczęśliwszą przyszłość, wżera się w jego mózg z taką siłą, że nie opuszcza go ani na chwilę.

Żadne zawody, żadne upokorzenia nie są w stanie zniechęcić go w usiłowaniu zdobycia posażnej żony. Pracę zawodową traktuje jako dodatek konieczny, bo do polepszenia bytu dąży tylko drogą zaślubienia zamożnej panny.

Przyczyny takiego stanu należy szukać przedewszystkiem w wychowaniu i otoczeniu młodzieży.

Od najmłodszych lat słyszy chłopiec, jak matka, babka, ciotka i w ogóle całe otoczenie, nie krępując się obecnością dziecka, opowiadają o tem, jaki szczęśliwy ten, czy ów młodzian, że ożenił się z panną, co ma tyle a tyle tysięcy posagu. Słyszy dalej, jak mówią z przekąsem o X. czy Z., którzy żenią się z biednemi pannami. Więcej

KALEKA

(Powieść z francuskiego).

41

(Dokończenie).

V.

— Mam wszystko, co potrzeba, miss, zawołam Franciszka świstawką, skoro zechcę powrócić... Idź, nie bój się, na twoje nabożeństwo, a lepiej każ sobie założyć konie do powozu, jeżeli czujesz się zmęczoną... Tak daleko do tego kościoła!

I Wilhelm dodał głosem żałosnym:

— Czy nie wydaje się miss dziwnem, że nie odebraliśmy ani jednego listu, ani depeszy od brata i Eli, co najmniej od dwóch tygodni, że nie zawiadomili o swojem przybyciu? Tyle wypadków bywa na morzu, tyle nieszczęść... Dlaczego oni nie powracają?

Na drodze zadzwoniły wesoło dzwonki uprzęży na koniach.

Kaleka wykrzyknął, wyciągnął szyję, ręce mu zadrżały, oczy słupem stanęły.

— Zobacz prędzej, miss, to oni, ręczę, że to oni... Przybywają niespodzianie... Rajmund zawsze tak robi... No cóż, czy ich poznajesz?

Miss Burnaby przechyliła się przez balustradę tarasu i mruknęła zniechęcona:

— Nie, panie Willi, to lando najęte powraca do Luchon. Nie przypuszczaj do głowy podobnych myśli...

Wilhelm mruczał ze złością:

— Zawsze te wehikuły przeklęte wstrząsają mi sercem... Chciałbym, żeby jaki potok górski sprzątnął je ze świata... Idź miss, ksiądz nie będzie na ciebie czekał!

Poprawiła poduszki skórzane w wózku chorego i z książką pod pachą, zestarzała, sucha, dużemi krokami posunęła do bramy.

A Kaleka myślał wobec tej otwartej księgi natury o jutrze śmierci nieznanem, tajemniczem, zapytywał siebie w duszy, czy znajdzie nakoniec szczęście, spokój, miłość na tej drugiej planecie, skoro opuści świat, gdzie jego ciało i dusza zaznały tylko cierpienia, czy ucieknie z potwornej bryły, w jaką przeznaczenie go zakuło, czy odrodzi się silny i piękny, mogący oddać się uczuciom błogim, żeby zachwycić i posiąść serce takiej drugiej Eli, podobnej do niej, która będzie miała jasne jedwabiste włosy, głos dźwięczny i oczy aksamitne...

* * *

Listonosz, stary żołnierz z siwą hiszpanką, wszedł przez park podług zwyczaju i wyrwał go z melancholijnych marzeń.

— Masz dzisiaj listy Carauban? — zapytał Wilhelm z niepokojem.

— A jakże, panie Wilhelmie — i poszukawszy w torbie skórzanej listu z marką zagraniczną, rzekł: proszę pana, z adresem do pani hrabiny.

Kaleka zaczerwienił się.

— Możesz zostawić u mnie, matka moja przyjdzie zaraz, to go jej oddam.

— I owszem, panie Wilhelmie, a jakże zdrowie?

— Jak widzisz, Carauban, bardzo dobrze!

— Tem lepiej, po co zbogacać doktora; a jakie wiadomości od panny Eli, przepraszam, od pani wicehrabiny?

— Dobre, doskonałe... Zajdź do kuchni, dostaniesz butelkę wina... Taki kurz, pewny jestem, że masz ochotę napić się...

— Jak zawsze, proszę pana, dziękuję....

Podniósł rękę do kepi i lekkim krokiem dawnego strzelca pieszego znikł pomiędzy drzewami.

* * *

Wilhelm obracał gorączkowo w palcach list Eli, jak ptaka, ujętego w siatkę, o którego boimy się, żeby nie uciekł. Wahał się, czy odpieczętować kopertę, wystawiał sobie zdziwienie matki, gdyby to zrobił, wymówki, jakiemiby go obrzuciła.

nawet, z ust własnej matki nieraz słyszy słowa: „mój Józio czy Tadzio, jak skończy nauki, znajdzie sobie bogatą pannę“. I w taki sposób chłopiec rośnie z tą myślą, że wynaleźć sobie posażną pannę, to nietylko cel, ale i obowiązek. A przytem widzi, że przyjaciel lub znajomy jego, nie odznaczający się ani szczególnemi zaletami duszy i serca, ani wybitniejszemi zdolnościami, ani nawet stanowiskiem, dzięki zaślubieniu bogatej panny, pędzi żywot wesoły i niefrasobliwy. Dlaczegóżby on nie miał spróbować tego samego środka.

Ojcowie i matki w wielu rodzinach dziwią się potem, że ich córki, pomimo zalet charakteru i najstaranniejszego wychowania, daremnie czekają na utworzenie własnego ogniska domowego.

A że tak jest, sami w znacznym stopniu jesteśmy winni, kładąc chłopcom w uszy o szczęśliwości, wypływającej z bogatego ożenku. No i w znacznym jeszcze stopniu wywiera na młodzież swój wpływ życie nad stan, rozwinięte tak bardzo w Krakowie.

Myśl więc, w jaki sposób stanąć na równi z tymi, co błyszczą wszędzie swą zamożnością, pcha młodzież do zdobywania karyery nietylko pracą i uczciwością.

Sprawy Polskie.

— **Pruskie skargi**. Ciekawe dane o polskim ruchu narodowym na Górnym Śląsku spotykamy w sprawozdaniu zarządu m. Katowice za ubiegłe pięciolecie (od 1897 do 1902 r.). Czytamy tam między innemi: „Kto znał położenie tutejsze przed 20-tu jeszcze laty i porówna je z dzisiejszymi stosunkami, tego przerażą zmiany, jakie się dokonały w tym krótkim okresie. W owych czasach robotnik górnośląski uważał za obrazę, gdy go nazywano „Polakiem“, której nie puściłby płazem; ludność górnośląska czuła się niemiecką i nie chciała mieć nic wspólnego z Polakami. Na ulicy nie usłyszałeś prawie słowa polskiego i nawet dzieci ludzi, przybyłych świeżo ze wsi polskiej, starały się mówić wyłącznie po niemiecku. Godeł na sklepach z napisami polskimi nie było wcale i nikt nie myślał o zakładaniu stowarzyszeń polskich. Dopiero z przybyciem agitatorów z W. Ks. Poznańskiego i Prus zachodnich rozwinęła się najpierw tajna, a później coraz jawniejsza agitacya polska, której owoce dają się odczuwać coraz fatalniej. Dzisiaj wielu tutejszych drobnych rzemieślników uważa się za rdzennych Polaków, na ulicy mowa polska rozbrzmiewa coraz częściej, dzieci rozmawiają w domu i w szkole po polsku i zwiększa się z każdym dniem liczba szylków z napisami polskimi. Wskutek korzystnego położenia geograficznego naszego miasta, ruch wielkopolski rozbił w niem główną swą kwaterę. W ostatnich więc kilku latach Polacy założyli tu dwie gazety, cztery stowarzyszenia i bank ludowy, a obecnie przystępują do zorganizowania stowarzyszenia wyborczego“. W dalszym ciągu swego sprawozdania magistrat Katowic uskarża się na brak odpowiednich środków zaradczych i przepowiada bliskie spolszczenie tego, rdzennie niemieckiego do niedawna jeszcze miasta.

— Z Poznania donoszą nam, że p. Krajnik ze Sarnówka, właściel dóbr sarnowskich, kupił posiadłość Wierzchy, w pow. świeckim, z folwarkami, ogółem 3800 mórg, od rotmistrza pozasłużbowego Funka, Niemca. Z tego zaś majątku odkupił zaraz od p. Krajnika za 350.000 marek 2000 mórg, w tem około 120 mórg lasu, dla syna swego Kaźmierza, p. Wojnowski z Gzik, ogólnie szanowany obywatel i znakomity rolnik Prus Zachodnich, który każdemu z synów swoich kupuje po kolei większe majątki niemieckie.

Niezawsze tedy przechodzi ziemia polska w ręce, Niemców; nie wszyscy Polacy w poznańskiem są „kurczycielami“ matki — ziemi naszej.

— W sprawie emigracyi polskiej do kraju Zakaukaskiego czytamy, co następuje w „Warszawskim Dniewniku“:

Z powodu pogłosek, które przedostały się do prasy, że w ministeryum rolnictwa poruszono sprawę skierowania wzmagającej się emigracyi ludności Królestwa Polskiego, zamiast do Ameryki, na grunta skarbowe w guberniach zakaukaskich, departament dóbr skarbowych zamieścił w „Mosk. Wied.“ sprostowanie, w którem twierdzi, że sprawa ta nie była i nie mogła być poruszoną, gdyż na zasadzie zatwierdzonej w d. 15 kwietnia 1899 r. uchwały komitetu ministrów, pozwolenia na przesiedlanie się do kraju Zakaukaskiego mogą być wydawane tylko osobom rdzennie rosyjskiego pochodzenia i wyznania prawosławnego, przyczem przesiedleńcom, zamieszkałym na Kaukazie, pozwolenia takie wydaje władza cywilna na Kaukazie, przesiedleńcom zaś z innych okolic — minister spraw wewnętrznych, po porozumieniu z ministrem rolnictwa i dóbr państwa.

Nasi więc włościanie z Kongresówki, względnie włościanie z Galicyi wschodniej, pomiędzy którymi szerzono swego czasu propagandę, celem emigracyi do kraju Zakaukaskiego, nie mogą się czegoś dobrego spodziewać, chociaż by im agenci moskalofilscy złote góry obiecywali — poprostu bowiem władze rosyjskie nie pozwolą im tam się osiedlić.

Wiadomości polityczne.

— Z Berlina donoszą, że następca tronu, ks. Fryderyk Wilhelm, na zaprosiny cara Mikołaja uda się w połowie b. m. do Petersburga. Odnośnie do tej podróży czyni uwagę „N. W. Tagblatt“, że nie bez słuszności przypisują tej podróży także cele polityczne. Rosya właśnie w niewątpliwy sposób zadokumentowała, że porozumienie z Austro-Węgrami uważa za najważniejszą podstawę pokoju. Wizyta ta może obecnie w Petersburgu rozwiać najlżejszy cień przypuszczenia, iż w Berlinie nie są zadowoleni z celu i powodów misyi hr. Lambsdorffa. Jakkolwiek następca tronu niemiecki czynnie nie miesza się do polityki, to jednak jest możliwem, iż

Lecz przecie tak samo do niego, jak do niej Ela pisała i czy to występek, jeżeli przeczyta pierwszy te stronnice pełne uczucia, odetchnie radością, tak długo pożądaną?

Złamał pieczątkę i z chciwością, zapamiętaniem, jakby drżał, czy mu nie przeszkodzą nasycić głodnego serca i czytał kartkę. dla siebie przeznaczoną.

* * *

„Powracamy, mój Willi ukochany. Przeróżne złe i dobre awantury przedłużyły naszą wycieczkę, opowiem ci je na miejscu.

„Za trzy lub cztery dni będę przy tobie, nie przestaję myśleć o tem i cieszyć się..

„Czy są jeszcze owoce i kwiaty?

O jak gawędzić będziemy i śmiać się, braciszku drogi! Co za wieczory przy ogniu kominkowym!

„Ściskam cię tak, jak kocham, a więc z całego serca“.

* *

Następnie rozłożył kartki, przeznaczone dla pani de Trebes, w których młoda mężałka puściła wodze wesołości.

„Jeżeli wypadkiem znalazłby się ktoś krytykujący — a są tacy w najprzyjemniejszych domach — i miałby coś przeciw podróży naszej, uważałby ją za niepotrzebną, możesz mamo odpowiedzieć, że to kształci młodość i że my użyliśmy podróży na poznanie siebie wzajemnie do gruntu i nauczenia się kochać wiecznie miłością, połączoną z szacunkiem.

„Mamo kochana, śliczna młoda mamo, co wyglądasz, jak siostra twojej synowej, powiem ci coś, co będzie bardzo oryginalne i nie często się zdarza...

„Oto, ty, młoda mamo, zostaniesz babcią... czy przebaczysz to swoim dzieciom?

„Ale to już pewne. Zrazu ukrywałam przed moim Rajmundem, lecz teraz wie już, i jako człowiek, nic nie szanujący, śmieje się i powiada, że powracamy do was z *przewyżką bagażu!*

„Żartuję, droga, uwielbiana mamo, bo szaleję z radości. Chłopiec czy dziewczyna, wszystko jedno, aby tylko jedno czy drugie podobne było do mojego ubóstwianego męża. Wybieramy już i szukamy imienia, jakie nosić będzie dziecię naszej miłości! Pomyśl także o tem, mamo, bo z pewnością będziesz matką chrzestną.

„Boję się teraz napotykać dzieci brzydkie lub kaleki; Rajmund kupił mi na drogę album Kate-Greenway, która tak dobrze maluje maleństwa, z ich główkami złocistemi, buzią różową i minką, jak gdyby zdziwioną...“

„Boję się teraz napotykać dzieci brzydkie lub kaleki“.

Wilhelm wypuścił list z palców. Westchnął głośno z twarzą łzami zalaną.

W piersiach łkanie mu wzbierało i nagle doznał uczucia, jakby ktoś młotem uderzał go w serce i miażdżył, jak winne grono; czuł, że zapiera mu się oddech w gardle i czarna zasłona oczy zakrywa.

Krzyknął w męczarni:

— Umieram!.. Umieram!.. Ratuj, miss... Umieram!.. Elo!..

Bezwładna, trupio blada głowa, opadła na poduszki.

* *

Mrok zapadał w dolinie.

Lodowce na wierzchołkach gór okrywały się purpurą ostatnich promieni zachodu.

Opary wznosiły się ponad rozpadlinami, w mgłach szybowały kruki i wrony i ginęły nad potokami w gęstwinie lasów.

Zwiędłe liście muskały spokojną twarz umarłego, w przestrzeni migotały pierwsze gwiazdy, jak niegdyś świece, które ze swoją przyjaciółką, ze swoją Elą, Wilhelm zapalał z całą wiarą i pobożnością przy choince Bożego Narodzenia i na białych ołtarzykach w miesiącu Maryi...

Koniec.

podróż jego jest połączoną ze sprawą rokowań o odnowienie traktatów handlowych niemiecko-rosyjskich, która to sprawa została ciężko dotkniętą przez świeżo uchwaloną taryfę cłową.

Jasnem jest tedy, że dwaj spólnicy w trójprzymierzu ubiegają się o poparcie w Petersburgu, celem szkodzenia sobie nawzajem. Ładne jest to trójprzymierze, boć przecie pominięcie Berlina w podróży hr. Lambsdorffa, to chyba tylko dowód, że Wiedeń zwraca się mocno ku stolicy nad Newą, gdzie jego umizgi są zawsze wdzięcznie przyjmowane.

— Dyplomaci między sobą radzą i rozstrzygają o przyszłych losach Macedonii, oczywiście nie biorąc na uwagę żądań ludności różnojęzycznej i różnowyznaniowej tej prowincyi tureckiej. Tymczasem poza plecami dyplomatów uciemiężona ludność chrześciańska Macedonii nie ustaje w zbrojnym oporze przeciw Turkom. Świeżo np. donoszą z Konstantynopola, iż w miejscowości Brezowa ośmiu członków bandy rewolucyjnej bułgarskiej stawiło czoło siedmdziesięciu żołnierzom tureckim, z których 16 padło na miejscu, 6 Bułgarów uszło, dwóch zaś dostało się w ręce Turków.

Prasa bułgarska robi „dobrą minę do złej gry" po odwiedzinach hr. Lamsdorffa w Sofii. Oficyalny organ, „Bulgarina", ostrzega interesowanych (dwa komitety rewolucyjne macedońskie. *Przyp. Red.*) przed wyciąganiem z tej podróży zbyt daleko idących konsekwencyi. W ten sam sposób przemawia organ Stambułowistów, „Now Wek", zaznaczając, że Rosya życzy sobie naprawy stosunków macedońskich, lecz na drodze pokojowej. Byłoby to pocieszającem ze względu na pokój w Europie, lecz trudno przewidzieć, jakie niespodzianki przynieść może dyplomacya rosyjska i... wiosna, ułatwiająca walkę w górach z wojskiem tureckiem.

Chorwaci przeciw słowiańskiej wystawie.

Poważny dziennik zagrzebski „Hrvatsko Pravo" zamieścił świeżo trzy artykuły p. t. „Sveslavenska izložba u Petrogradu" (Wystawa wszechsłowiańska w Petersburgu). Autor ich, znany krytyk i nowelista, p. Branko Drechsler, wykłada czytelnikom obszernie stanowisko społeczeństwa polskiego w sprawie wystawy, powołując się na swe rozmowy z Polakami podczas niedawnego pobytu w naszym kraju, oraz z całą sympatyą dla nas i zrozumieniem rzeczy uzasadnia, dlaczego udziału w tem przedsięwzięciu wziąć nie chcemy. By uprzytomnić czytelnikom położenie Polaków pod panowaniem rosyjskiem i wynikające stąd ich stanowisko względem wystawy, p. Drechsler cytuje dłuższy ustęp z korespondencyi warszawskiej „Przeglądu Wszechpolskiego" (z września 1902), w którym wskazano, cośmy powinni wystawić, ażeby obcy naszą wartość należycie ocenili, i wyliczono długi szereg dokumentów, świadczących o niszczeniu wszelkiej pracy kulturalnej u nas przez rząd rosyjski i o ofiarach, jakie musimy ponosić, by w tych warunkach coś dla przyszłości robić.

Przechodząc następnie do stanowiska Chorwatów względem wystawy, autor wskazuje na projektowane usunięcie ich na drugi plan, z wysunięciem na pierwszy Serbów — którzy, mając jeden język z Chorwatami, bliżsi są Rosyi przez to, że są prawosławni i nie ulegli wpływom zachodniej kultury: Serbowie mają dostać osobne miejsce, gdy Chorwaci mają zginąć w ogólnym dziale mniejszych narodowości. Przypominając fakty nieprzychylnego stanowiska Rosyan względem Chorwatów (jak usunięcie w kąt swego czasu na wystawie sztuki w Petersburgu obrazu znanego malarza chorwackiego, Medović'a), p. Drechsler oświadcza się przeciw udziałowi Chorwatów w wystawie na warunkach, jakie daje komitet petersburski.

KRONIKA.

Kraków, 3 stycznia.

Kalendarzyk. Dziś Genowefy. Jutro Eugeniusza. Pojutrze Telesfora.

Dziś o godz. 8 rano — 4° C.

Repertoar teatru miejskiego w Krakowie.

W sobotę „Na strażnicy", sztuka w 4 aktach Jana Galasiewicza (nowość).

W niedzielę po południu przedstawienie górnośląskiego teatru. Wieczorem „Na strażnicy".

W poniedziałek Koncert Amelii Heller i Leopolda Godowskiego.

We wtorek o godz. 3 „Pamiętniki szatana". Wieczorem „Krzyżacy".

W środę „Na strażnicy".

W czwartek „Kordyan".

W sobotę „Makbet", tragedya w 5 akt. W. Szekspira.

W niedzielę „Makbet".

Od wydawnictwa.

Z dniem 1 stycznia b. r. dla wygody naszych P. T. Czytelników przy składaniu prenumeraty na „Kuryera" ustanowiliśmy agencye w mieście.

Przyjmują więc obecnie prenumeratę na „Kuryera Krakowskiego":

Trafika główna na Linii A—B.

Janeczek i Wojciechowski, skład papieru, Rynek główny.

Julian Kurkiewicz, skład dewocyonaliów, Mały Rynek.

I. Schmaus, skład papieru, ul. Szewska.

Biedny Grottger! Niedawno odmówił mu p. Jasieński nietylko geniuszu, ale indywidualizmu, a tu znów wyprawiają się komedye z jego pomnikiem. Ogłoszono naprzód na niego konkurs, a jednocześnie, jak się to u nas prawie zawsze dzieje, miano, już golowego... zwycięzcę. Szczęśliwy zwycięzca przystąpił do wykonania pomnika, naśladując modne ławki kamienne z biustem pośrodku chciał może przypomnieć nam berlińską (Siegesallee). Choćby panowie rzeźbiarze zaklinali się nawet na Michała Anioła, faktem jest, że taka ławka jest przedewszystkiem ławką ozdobioną jakąś główką, a nie pomnikiem. Ale mniejsza już o to. Dość, że rzeźbiarz rzecz wykonał, ale zapomniał spytać się, gdzie „pomnik" będzie stał, a wskutek tego nie zastosował się do wyznaczonego miejsca. Sądził zapewne, że pomnik zostanie umieszczony nie na otwartem miejscu, lecz tyłem przy murze, lub, że zostanie z tyłu zasłonięty — i dlatego tył pomnika „puścił". Głowa Grottgera ma z tyłu wydrążenie, całość jest wstrętna. Co tu robić? Nareszcie komitet postanowił zapchać głowę Grottgerowi i — ustawił ławkę... na wzniesieniu, bo inaczej zginęłaby wśród otoczenia. Wykonano, ale pokazało się, że i tak niedobrze. Więc pomnik ślicznie przykryto budą, i Grottger podziela los tyle lat w budzie stojącego Mickiewicza. Co z tego będzie — nikt nie zgadnie. Dość, że pełno teraz kłótni, irytacyi, obraz i nieporozumień między znawcami.

Nowa agencya. Z dniem dzisiejszym otworzyliśmy agencyę „Kuryera" w księgarni p. Poturalskiego w Podgórzu.

Z resursy urzędniczej. Wczoraj pod przewodnictwem radcy apelacyjnego Herolda, obradowali członkowie resursy nad referatem dyr. Niemetza w sprawie wynajęcia nowego lokalu i wybudowania sali. Wnioski przyjęto jednogłośnie i polecono wydziałowi dalszą akcyę w tym kierunku. Dnia 17 bm. odbędzie się zwyczajne doroczne walne zgromadzenie członków resursy w celu wysłuchania sprawozdania z działalności instytucyi i wyboru wydziału.

Na wieczornicy miesięcznej w tutejszym „Sokole", która odbędzie się w sobotę 3 b. m., będą omawiane sprawy tegorocznego zlotu krajowego wszystkich gniazd sokolich.

Z sprawozdania krak. Ochotniczego Towarzystwa ratunkowego, za miesiąc grudzień z. r. dowiadujemy się, że pogotowie ratunkowe udzieliło ogółem pomocy w 262 wypadkach, z czego na nocną służbę przypada 56. Z ogólnej liczby wypadków 58 stanowią nagłe zasłabnięcia 132 przypadki chirurgiczne, 9 obłąkania, 11 porody i poronienia. Mężczyzn, zgłaszających się o opmoc było 144, kobiet 100, a dzieci siedmioro. Z przykrością zaznaczyć trzeba, że pogotowie 11 razy było w tym miesiącu fałszywie alarmowane.

Liczba członków wspierających wynosi obecnie 234, oprócz tego służbę czynną pełni 29 lekarzy i 59 słuchaczy medycyny.

Nowi przysięgli. I. Jako przysięgli główni zostali wylosowani w Krakowie:

1. dr Bannet Arnold, 2. dr. Brudzewski Karol, 3. Bieńkowski Bol., 4. Bochenek Fran., 5. dr. Ciechanowski St., 6. Czaplicki Kar., 7. Czarnecki Melchior, 8. Czuhek Jan, prof., 9. dr. Dadlez Wilhelm, 10. Doboszyński Dominik Karol, 11. Dobrowolski Józef prof., 12. Doskowski Maryan, 13. Ehrenpreiss Ig., 14. Florczykiewicz Franciszek, 15. Gorzecki Marcin, 16. dr. Górski Józef, 17. Guzikowski Andrzej wł. real., 18. Hanak Józef, 19. dr. Jaugustyn Stanisław, 20. Kenner Jan, 21. Kolczykiewicz Maciej, 22. Kondolewicz Wincenty, 23. Korzeniowski Zygmunt, 24. Krause Bronisław, 25. Łasiński Józef, 26. Mamczyński Józef, 27. dr. Musil Franciszek, 28. dr. Nartowski Mieczysław, 29. Orlicz Franciszek, 30. Pakies Józef, 31. dr. Piotrowski Adam, 32. Raczyński Aug., 33. Schmidt Franciszek, 34. Smidowicz Eugeniusz, 35. Zangen Jan Ignacy, 36. Żarski Ludwik.

II. Przysięgli zastępcy:

1. Bandet Aron Joachim, 2. Bujak Szymon, 3. Chrząstek Sebastyan, 4. Fürst Izyd., 5. Isenberg Salomon, 6. Langrod Edward, 7. Schmitd Józef, 8. Springer Baruch, 9. Thorn Hirsch.

Nadzieja jest matką głupich powiada przysłowie, a o prawdziwości jego przekonał

się wczoraj obywatel tutejszy pan Z., który oddawna cieszył się nadzieją, że z nowym rokiem magistrat zechce zająć się uporządkowaniem ulic i bodaj trochę lepszem oświetleniem w nocy. Tymczasem magistrat nic sobie nie robi z nadziei, jaką pokładał w nim pan Z., nie pomyśli, że należałoby bodaj jedną latarką oświetlić ul. Biskupią, i uprzątnąć olbrzymie kupy lodu, które celem „własnoręcznego" tajenia porozbijano na całej przestrzeni.

Pan Z., wracając nocą do domu, potknął się i padając potłukł się tak serdecznie, że dziś przyszedł do naszej Redakcyi i prawie z płaczem skarżył się na świetne porządki naszego „świetnego" magistratu.

Piszemy: „swietnego" magistratu, gdyż magistratowi m. Krakowa rozchodzi się wszędzie i zawsze o ten tytuł, choć ministerstwa już trzy lata temu zniosły wszelką tytulizacyę, trzymając się tej zasady, że cóż po tytule, gdy pustki... niech będzie, że tylko..... w szkatule!...

Przypominamy! że jutro w niedzielę dnia 4 stycznia w teatrze miejskim odegrają bracia Górnoślązacy — dwie popisowe sztuczki: „Sąsiedzi" i „Bogata wdowa". Poznamy w nich zwyczaje i obyczaje ludu Górnośląskiego, ich śpiewy, tańce, ubrania narodowe; wszystko to nam prawie, że nieznane, choć tak się Górnoślązakami interesujemy i zachwycamy ich coraz gorętszą walką z wszystkiem, co niemieckie. Nietylko więc ciekawość, ale szczera sympatya dla tych dzielnych współbraci — powinna nas koniecznie jutro w teatrze na popołudniowem przedstawieniu zgromadzić. Początek o wpół do trzeciej po południu, ceny zniżone.

Skandaliczna scena miała miejsce w pierwszy dzień nowego roku w Zakładzie miejskim, nazw. „Angielskim ogrodem" przy ul. Lubicz, służącym za przytułek dla starców, kalek i obłąkanych już na wyleczeniu, przysyłanych tam ze szpitala powszechnego.

Domek zakładu, rodzaj odrapanej rudery z równie brudną przybudówką, stoi śród obszernego podwórza i jest odgrodzony od ulicy murem, obejmującym w dalszym ciągu miejskie szkółki ludowe. Od pewnego czasu umieścili tam lekarze jakąś kobietę już na wyleczeniu, jak się zdaje, wesołą hysteryczkę, w czasie gdy była przy zdrowych zmysłach. Od godziny 10 rano do 4 po południu, nieszczęśliwa, przechadzając się po podwórzu z malemi przerwami, walczyła strasznym, obosiecznym językiem z widmami: jakiegoś księcia, oficerka artyleryi i jego kochanki X., których obrzucała obelgami, jakie się słyszy tylko w spelunkach portowych, z ust pijanych marynarzy.

W oknach domów po przeciwnej stronie ulicy, skąd widać zakład jak na dłoni, rzucili się wszyscy do okien. Wtedy chora (na wyleczeniu), przyczepiła się do lokatorów i zachowywała się tak, że... wstrzymujemy się od opisu.

Śmieszna i bolesna scena, tem bardziej, że na mur powlazło kilka tuzinów dzieci, dziewcząt i wyrostków; drażnili i podniecali oni na wyskoki chorą.

Nikt z tych, którym straż chorych jest powierzona, nie pokazał się przez cały ten czas sześciogodzinny. C. k. straż bezpieczeństwa, pod postacią policyanta, świeciła także nieobecnością — nie miał więc kto spędzić ciekawych z muru, aż dopiero jakaś bosa, strasznie umorusana, nasza krakowska Marysia, raczyła wyłonić się z kuchni i rzucić kilka kamieni na wesołych widzów.

Stawiamy więc uprzejme zapytanie do świetnego Magistratu kr. stołecznego miasta Krakowa: czy istotnie dla takich chorych osobniczek na wyleczeniu niema w brudnej ruderze w angielskim ogrodzie, ani męskiego dozoru, ani cel osobnych, opatrzonych zamkiem, czy godzi się i przyzwoitą jest rzeczą, aby w takim zakładzie nie było absolutnie nikogo do zajęcia się choremi, prócz owej równie brudnej, jak energicznej Marysi!

„Tajemnicze" ślady krwi. Alarmuje nas w tej chwili dzwonek telefoniczny. Jeden z szeregowców biórkowych spieszy do telefonu i po chwili zwraca się do drugiego:

— Panie chodź pan tu, bo ja z tym człowiekiem w żaden sposób nie mogę się rozmówić...

Wezwany spieszy. I wkrótce słyszymy taką rozmowę.

— Więc znaleziono tylko kość?...

— Skoro tylko kość, to pocóż wezwano pogotowie ratunkowe?

— Aha! nie było na miejscu rzeczoznawcy. Dowidzenia... do widzenia!...

Rozmawiający oddzwonił i składa raport szefowi, dowódcy redakcyjnej gwardyi:

— Nasza szpica... przepraszam nasz reporter dotarł już aż do policyi i uwiadamia, że na ulicy Szlak ubiegłej nocy zdawało się mieszkańcom, że słyszą przez sen „ciche wołanie" o pomoc. Dziś rana na tej samej ulicy koło domu, oznaczonego l. 7. jakowaś niewiasta odkryła niewielką kałużę krwi. Ta krew w połączeniu z owem „cichem", słyszanem przez sen wołaniem o pomoc naprowadziło domyślnych mieszkańców tych stron na wniosek, że popełniono jakąś straszną zbrodnię.

Wniosek ten będący na razie podejrzeniem utrwalił i uzasadnił pewien pan, który wykrył ślady krwi prowadzące aż do samej Rudawy, gdzie — o zgrozo! — wśród śnieżnej tafli lodu czerniła się krwawa krwi kałuża (reporter nasz używa stylu masła maślanego). O strasznym tajemniczym wypadku doniesiono natychmiast c. k. Dyrekcyi policyi, a ta z ramienia swego wydelegowała do śledztwa komisarza Krupińskiego i zawezwała pogotowie ratunkowe.

Dalej reporter nasz twierdzi, że jest obecny na samem miejscu wypadku, że znaleziono tam kość, ale na razie dla braku zaprzysiężonych rzeczoznawców nie można skonstatować, czy kość jest ludzką, czy bydlęcą, oraz wyraża nadzieję, że władze uczynią wszystko i nie cofną się przed żadnymi kosztami byle tylko wykryć tajemnicę, jaka otacza tę kość, tę krew i to ciche, słyszane przez sen wołanie o pomoc....

Raport skończony. Szef redakcyi spojrzał na nas, my szeregowcy na szefa i nagle zerwały się nici subordynacyi, a w redakcyi zahuczał śmiech homeryczny.

— Co wy na to? pyta szef.

— Bydlęca kość — wołamy na przemiany — szkoda czasu na opisywanie takich głupstw!

— Panie od michałków, zrób pan ten kawałek... Zobaczymy, może jeśli to nie będzie morderstwo, to przynajmniej jakaś świnio-bójska kradzież...

W godzinę potem zjawia się nasz reporter.

— Panowie — woła od progu — notatka niepotrzebna, komisarz niepotrzebny, pogotowie niepotrzebne, krew jak komisarz zbadał, była bydlęca, kość także...

— Oj panie — westchnął szef — komisarz był potrzebny, bo gdyby jego nie było, któryż z rzeczoznawców osądziłby do kogo należą tajemnicze ślady krwi?...

Swoją drogą, śledztwo, choć energiczne dotychczas nie wykryło, jakie bydlę cierpiało ubiegłej nocy na krwotok...

Grzeczna stróżka! Lokatorowie domu l. 21 na Półwsiu Zwierzynieckiem skarżą się na tamtejszą stróżkę, która pomimo, iż za każde otwieranie bramy w nocy otrzymuje zwykłą „szpyrę" w kwocie 20 hal., jednak częstuje późno wracających lokatorów, bez względu na ich płeć lub wiek, takiemi epitetami, jak: „cholera!... psiakrew!..." i t. p. Właścicielka domu nie mieszka na miejscu, więc do nikogo udać się nie można, aby położył kres temu zachowaniu się stróżki; dlatego też lokatorowie pomienionego domu za naszem pośrednictwem komunikują fakt powyższy właścicielce domu.

Okradziony oficer. Onegdaj jakiś niewyśledzony, ale w każdym razie, choć troszkę uczciwy złodziej zakradł się do pomieszkania F. Lazarusa i zabrał mu stamtąd cywilne ubranie wełniane. Przynajmniej więc okradziony oficer nie poniósł żadnej dotkliwej straty w swej mundurowej garderobie.

Nieostrożna jazda. Wczoraj przywiózł policyant na Stacyę ratunkową 68-letniego Jakóba Golca, b. tercyana przy szkole ludowej, na którego najechała dorożka tak nieszczęśliwie, iż Golcowi pękła kość goleniowa. Po udzieleniu rannemu pierwszej pomocy przez pogotowie, odstawiono go na klinikę chirurgiczną.

Przemysł tkacki Szczepanika. Krakowski korespondent „Dzien. pozn." pisze: Przed dwoma laty głoszono wynalazek Szczepanika z zakresu tkactwa, jako prawdziwą kopalnię złota dla krajowego przemysłu. „Société des inventions Szczepanik i Sp.", złożona z wynalazcy Szczepanika, oraz z finansistów Kleinberga i Habricha obiecywała do 60 prc. rocznej dywidendy, powołując się na pierwsze powagi fachowe; w Galicyi i Wielkopolsce, zebrała około 250.000 złr. kapitału. Po dwóch latach istnienia okazuje się, że, jak nam donoszą ze sfer kompetentnych, w roku 1901 sprzedało towarzystwo zaledwie za 1203 koron towaru, a miało około 74.779 koron deficytu, w roku 1902 sprzedało za około 3212 koron towaru, a miało około 90.000 kor. deficytu. Co gorsza, rzeczoznawcy twierdzą, że wyrób każdego szablonu przynosi około 300 proc. straty, i że kartony, które miano w 2—15 minut wykonać, wykonywa się obecnie w czasie od 4—6 godzin i to przy pomocy nie fotografii, lecz ręcznej pracy. Wobec tego „Societé" dalsze prowadzenie interesu przejęła na własny koszt i akcye.

Nie jest to pierwszy smutny rezultat przedsiębiorstw Szczepanika, poprzednio już bowiem zamknięta została fabryka jego patronów w Roubaix.

Ponieważ zaś inne wynalazki Szczepanika są wynikiem fantazyi p. Kleinberga — cóż więc teraz mamy sądzić o całej sprawie.

Browar w Skawinie, własność masy konkursowej p. Kolorosa przeszedł w tych dniach w drodze licytacyi na własność p. Michała

Łążyńskiego z Królestwa polskiego. Browar poprowadzi dalej dotychczasowy jego kierownik p. Antoni Tylko. O ile nam wiadomo, p. Łążyński czyni znaczne układy, byle tylko zapewnić rozwój browaru, który pod kierownictwem p. Tylki zapewne jako krajowe przedsiębiorstwo zyska łatwy zbyt dla swych wyrobów.

W Samborze zmarła Apolonja z Warhalowskich Misiągiewiczowa, matka wdowy ś. p. Stanisławie Grudzińskim i żony nieszczęśliwego Władysława Ordona.

Staruszka 73-letnia, od śmierci męża, zaszłej przed kilku laty, przemieszkiwała w Samborze przy córkach Ordonowej i niezamężnej p. Jadwidze Misiągiewiczównie, otoczona powszechnym szacunkiem.

Dla kilku marnych groszy zamordował pewien włościanin pod Wieluniem swego własnego syna, nie wiedząc swoją drogą, że ten, którego ugodził śmiertelnie nie jest jego własnem dziecięciem. Dowiadujemy się o tem z listu prywatnego, pisanego z tamtych stron do jednego z tutejszych obywateli. Rzecz przedstawia się następująco:

Włościanin ów miał syna w wojsku rosyjskiem. Kilkanaście dni temu syn, ukończywszy służbę, powrócił do domu, a że był chłopcem pracowitym i oszczędnym, więc jako dieńszczyk oficerski zebrał sobie trochę grosza. Przybywszy do rodzinnej wioski, zaszedł najpierw po drodze do chaty ojcowskiej, do swych chrzestnych rodziców. Ci zrazu nie mogli go poznać, bo kilka lat nie widzieli go zupełnie, lecz potem przyjęli go serdecznie i z całą przyjemnością przyjęli jego zaproszenie na zabawę, którą chciał na drugi dzień urządzić dla uczczenia swego powrotu. Młody wojak pożegnał się rychło z chrzestnymi i pośpieszył do ojca. Ale w chacie zastał tylko młodą siostrę, która była jeszcze dzieckiem, gdy go wzięto w soldaty. Ta nie poznała brata, ale, gdy jej powiedział kim jest, przyjęła go serdecznie. Młody wojak, głodny i zmęczony podróżą, nie mogąc doczekać się powrotu ojca, który pojechał do Wielunia, dał siostrze pięciorublówkę prosząc, aby przyniosła mu wódki i kiełbasy, a zjadłszy tę wieczerzę, resztę pieniędzy ofiarował siostrze i sam ułożył się do snu.

Tymczasem nadjechał jego ojciec. Zastawszy śpiącego w swym łóżku syna, spytał córki, co robi ten człowiek w jego chacie. Ta powiedziała mu, że wojak przyszedł do niego za interesem i że ma wiele pieniędzy przy sobie. Stary wypędził córkę z chaty, uderzeniem siekiery zamordował własnego syna i obrabowawszy trupa z pieniędzy, ukrył go w gnojówce. Zbrodnia jednak wydała się zaraz na drugi dzień, gdy chrzestni, zaproszeni przez zabitego na zabawę, przybyli do chaty jego ojca.

Mordercę syna, który sam oddał się w ręce sprawiedliwości, osadzono w więzieniu wieluńskiem, a trupa nieszczęsnego chłopca wydobyto z gnojówki i po dokonaniu sekcyi, pogrzebano uczciwie na wioskowym cmentarzu.

Ks. Filip Eulenburg, odwołany niedawno z Wiednia, ambasador niemiecki miał w młodości swojej przygodę, która mu wcale przynosi zaszczytu. Jako student w Bonn około r. 1860 wałęsał się pewnego wieczora po ulicach w towarzystwie nie mniej od niego awanturniczych kolegów. Rozwydrzone grono burszów zaczepiało po drodze w brutalny sposób niewinnych przechodniów, w rzędzie których znalazł się także kucharz, Francuz, księcia Saxen-Coburg-Gotha. Wśród wynikłej kłótni z Bogu ducha winnym kucharzem, późniejszy książę, a wówczas jeszcze hrabia Eulenberg, dobył szpady i, dając folgę swemu zbyt krewkiemu temperantowi, przeszył nią niewinną ofiarę. Skazano go za to na kilka miesięcy fortecy. Tragiczny ten w życiu przyszłego ambasadora epizod nie przeszkodził mu wcale zbierać laurów na drodze dyplomatycznej a nawet doczekać się gognności księcia, do której wyniósł go cesarz Wilhelm II.

O księżnej Ludwice Koburskiej piszą z Drezna do „Vossische Ztg.“: Dzienniki starają się znowu przedstawić księżnę, jako chorą nerwowo, apatyczną, obojętną na wszystko. Jest to wynik jej spotkania z byłym porucznikiem Matachich w parku zakładu leczniczego Pearsona, Lindenhof pod Koswig. Wiadomo, że porucznik był oskarżony o fałszowanie podpisu księżnej, że osądzono go na pięć lat więzienia, lecz po odyciu części kary, został przed niedawnym czasem ułaskawiony. Obecnie Matachich, w porozumieniu z księżną, domaga się rewizyi procesu i dlatego jej przeciwnicy chcą, aby uważano ją za niepoczytalną. Po śmierci królowej belgijskiej rozpuszczali także pogłoski, że jej córka przyjęła tę wiadomość obojętnie. Sama księżna w „Dresdener Nachrichten“ zaprzeczyła twierdzeniom, jakoby świat zewnętrzny jej nie obchodził i złożyła świadectwo zupełnej przytomności umysłu. I dziś zapewne te wieści są przesadne.

Jan Orth, niegdyś arcyksiążę Jan Salwator, który ongi mieszkał w Krakowie, jako wyższy oficer armii austryacko-węgierskiej, a stryj tak głośnego dziś b. arcyks. Leopolda Salwatora, dziś Leopolda Wölflinga, żyje podobno wbrew oficyalnie stwierdzonej pogłosce, że zginął wraz z całą załogą swego statku „Małgorzata“ na Oceanie Spokojnym. Oto, co podaje w tej mierze pismo wiedeńskie „Zeit“:

Arcyksiążę Leopold Ferdynand oświadczył naszemu korespondentowi, że ma przekonanie, iż Jan Orth żyje. Przed rokiem bratowa arcyksięcia Leopolda, wraz z innemi osobami, widziała w Cannes na okręcie człowieka, który na włos podobnym był do arcyksięcia Jana. Właściciel tego okrętu, arcyksiążę Ludwik Salwator, człowiek skryty i nieprzystępny, nikomu nie chciał dać w tej sprawie wyjaśnień. Wölfling przypuszcza, że arcyksiążę Ludwik, który bardzo lubi Ortha, przyjął go do siebie na wyspach Balearach; arcyksiążę Ludwik Salwator żyje na swej wyspie, jak patryarcha, a stamtąd żadna wieść nie przedrze się do Austryi. „Arcyksiążę Jan — opowiadał Wölfling — złożył w banku zurychskim 4 miliony zlr. Przed paru laty mój ojciec, który, jako najstarszy brat Jana Ortha, jest jego spadkobiercą, zwrócił się do tego banku, aby podjąć spuściznę. Bank odpowiedział, że według ustaw szwajcarskich nie upłynął jeszcze czas, po jakim można wydać spadek po człowieku, ogłoszonym za zmarłego. Ojciec mój chciał przynajmniej się dowiedzieć, o ile narosły procenta w tym czasie. Bank jednak odmówił wszelkich wyjaśnień. Sądzę więc, że Jan Orth pobiera procenta z Zurychu i żyje z nich zdrowo i spokojnie“.

Rewolucyjna demonstracya w teatrze w Wilnie. Do bardzo częstych objawów ruchu rewolucyjnego w caracie należą demonstracye w teatrach. Podczas przedstawień teatralnych rozlegają się nagle rewolucyjne okrzyki, z galeryi niewidome ręce z wielką zręcznością zrzucają na parter rewolucyjne odezwy, które formalnie rozrywa zebrana tam „wytworna“ publiczność i odczytuje z niemałem zainteresowaniem. Po ukończeniu przedstawienia młodzież śpiewa „Marsyliankę“, „Warszawiankę“ lub inną pieśń rewolucyjną.

Niedawno przyszło do podobnej demonstracyi w teatrze w Wilnie, podczas przedstawienia znanego dramatu M. Gorkiego „Mieszczanie“. Kiedy po przedostatnim akcie spadła zasłona, z galeryi zagrzmiały chóralne okrzyki: „Niech żyje wolność!“, „Precz z caratem!“, „Niech żyje Gorkij! znajdujący się pod policyjnym dozorem!“.

Morderstwo w kościele. Moskwa wzburzona jest zamordowaniem w biały dzień bogatego bankiera ormiańskiego, Izaaka Dżamharowa, w przedsionku kościoła ormiańskiego Podwyższenia Św. Krzyża. Izaak Dżamharow przyjechał do kościoła w zamkniętej karecie w towarzystwie swego brata, Mikołaja. W chwili, gdy wszedł do kuchty kościelnej, z za drzwi wyskoczył młody człowiek o silnym typie wschodnim i wymierzył mu cios kindżałem prosto w serce. Raniony śmiertelnie zachwiał się i krzyknął. Morderca tymczasem zadał mu drugi cios w prawy bok. Gdy Dżamharow padł na ziemię, otrzymał jeszcze trzy rany w tył głowy i cztery rany w plecy. Na ratunek mordowanego pośpieszył brat Mikołaj, który, niestety, wysiadłszy z powozu, stanął tyłem do drzwi kościelnych i wydawał dyspozycye stangretowi. Morderca usiłował i jego pchnąć kindżałem, przeszkodził wszakże temu dziad kościelny, który go schwycił za rękę i usiłował mu odebrać kindżał, co mu się w końcu udało przy pomocy innych. Gdy Dżamharowa podniesiono z ziemi, ten już nie żył. Morderca nazwał się Michałem Akkopiancem, poddanym ruskim i oświadczył, iż tego samego dnia przybył z Wiednia w celu zamordowania Dżamharowa. Istnieje przypuszczenie, że należy on do bandy, która podczas lata usiłowała na Kaukazie wymódz na Dżamharowie 30.000 rb. i kilku jej uczestników dostało się za to do więzienia. Dżamharow był bardzo bogaty, majątek jego obliczają na 30.000.000 rb. Na cele dobroczynne ormiańskie wydawał on rocznie około 200.000 rb.

Humbertowie wybrali sobie obrońcą adwokata paryskiego Henryka Robert. W Paryżu osłabło podobno zainteresowanie się ich sprawą, bo niema nadziei, aby dał się z niej wykuć jakiś wielki skandal polityczny. Powszechne zdziwienie wzbudza fakt, że większość wierzycieli Humbertów nie zgłasza do nich swych pretensyi. Jeden z nich, niejaki Leoncyusz Marchand, przemysłowiec z Dunkierki, mający pretensyę na 11 milionów, wcale ze swojemi pretensyami nie występuje, podobnie jak finansista Shotmans z Lille, którego Humbertowie naciągnęli na „drobnostkę“, bo tylko na 7 milionów franków. Panowie ci twierdzą, że większa część ich pieniędzy utonęła w kieszeni lichwiarzy, którzy w niemiłosierny sposób wyzyskiwali Teresę Humbertową.

Z Warszawy donoszą: Zabito właścicielkę Miłosny, p. Matyldę Wiśniewską. Śledztwo prowadzi sędzia śledczy do spraw szczególnej wagi.

Najstarszą cyklistką w Londynie, a bodaj czy i nie na całym świecie, jest **94**-letnia Elżbieta Smith. Ci, którzy zastanawiają się nad pytaniem, czy kobiecie szkodzi jazda na rowerze, mogą się przekonać, że nawet prababkom — byle tylko zresztą były całkiem zdrowe — jazda na kole służy bardzo, p. Smith bowiem nie tylko jeździ znakomicie, ale i czuje się znakomicie.

Automobil przyczyną rewolucyi. Jak twierdzą znawcy stosunków w Marokko, jedna z głównych przyczyn najświeższej rewolucyi, na czele, której stanął Abu-Hamara, a która wstrząsnęła tronem sułtana Abdul Azisa, jest automobil. Sprawa tak się miała: Sultan Abdul Azis jest zwolennikiem reform i co zatem idzie postępu europejskiego. Dowiedziawszy się o tak ciekawym wynalazku „psów niewiernych", jak automobil, postanowił sam go wypróbować. Zakupiono dlań tedy samochód, sprowadzono go do Fejzu i władca wiernych spróbował na nim przejażdżki, kazawszy poprzednio wybudować kilkadziesiąt kilometrów szosy. Już budowa drogi *à la franca* wzburzyła ludność, a do reszty zirytował ją fakt, że w czasie pierwszej przejażdżki potomek proroka wypadł z samochodu i potłukł się jak zwykły śmiertelnik. Fanatycy naprzód zniszczyli automobil, następnie szosę, a wreszcie, gdy zjawił się pretendent do tronu, przeszli pod jego chorągiew. Aby Hamara jest konserwatystą i fanatycznym wrogiem Europy, oraz jej mieszkańców.

Kuracya barwna dla obłąkanych. Doktorowie Bond i Monnelle z Nowego Jorku w szpitalu dla kobiet obłąkanych przy Wards-Island wprowadzili nowy system leczenia obłędu. Pacyentki otaczane są wyłącznie jedną barwą, stosownie do charakteru obłędu. Pokoiki są małe, mieszczą tylko łóżko żelazne i krzesło. Ściany pomalowane na zielono, ponsowo, żółto, fioletowo i t. p. Światło wpada przez szyby tego samego koloru, łóżko i krzesło pomalowane odpowiednio, tak, iż w pokoju panuje zupełna jednobarwność. Osoby, dotknięte furyą, zamykane są w pokojach, pomalowanych na czarno. Ciemność i cisza wpływają na niekojąco.

Listonosz myśliciel. Było to z rana.

Pan X., dziennikarz, leżał jeszcze w łóżku i z wysileniem szukał w mózgu materyału do kroniki.

Wtem wszedł do pokoju listonosz, znany gawędziarz i oddając list panu X., rzekł z uśmiechem:

— He, he! to zapewne liścik od ładnej kobiety.

— A panu co do tego odparł pan X.

— E, bo ja się znam na listach.

— Cóż stąd?

— Ha! znając się na listach, znam się także na kobietach i mógłbym panu coś o nich powiedzieć.

— I cóż mi pan o nich powiesz?

— Oto, proszę pana, zastanawiam się nad kobietami bardzo długo i doszedłem do przekonania, że kobieta i list to jedno.

— Jakim sposobem?

— Bardzo prostym. Kobieta zamężna — to jest list doręczony według adresu; panna — to list, jeszcze nie wyekspedyowany, a stara panna, to list, który nie znalazł adresata.

Pan X. zerwał się z łóżka, uścisnął z radości listonosza i zawołał:

— Bodajeś z raju nie wyszedł! Mam fejleton! Tym — sposobem listonosz stał się autorem niniejszego gazeciarskiego artykuliku.

Przyjechali do Krakowa:

GRAND-HOTEL: Gustaw Szaszkiewicz, Zdzisław Gumiński, Wincenty Szczęsnowicz z Warszawy, dr. Tadeusz Gorecki ze Lwowa.

HOTEL POLLERA: Adolf Otuczyński z Wadowic, Józef Nagoński z Warszawy, Wacław Zaykowski z Warszawy, Mich. Konarska z Warszawy.

„Bonus pastor".



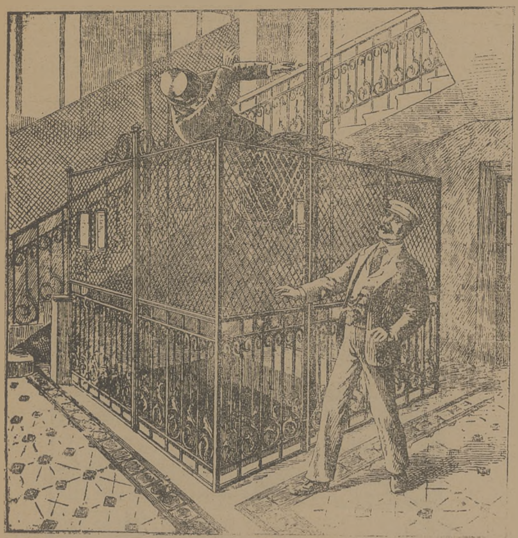
Podajemy dziś podobiznę grupy „Bonus pastor", wykonanej z szczerego złota przez sławnego artystę rzeźbiarza Marschalla. Grupa ta, osadzona na wspaniałym, blisko dwa metry liczącym cokole z kolorowych marmurów, jest podarunkiem, jaki ofiarował cesarz Franciszek Józef I. papieżowi Leonowi XIII. z okazyi jego jubileuszu biskupiego. Dar ten jest iście monarszy, a wartość jego, jako dzieła sztuki i jako surowego materyału jest niezmiernie wysoka.

* * *

Zaledwie dziedzic młody,
Rok Nowy, nowy pan,
Przez lasy, góry, wody
W dziedziczny zjechał łan,
Gdy wnet sekretarz Styczeń
W godzinach rannych wpadł,
Wręczając plikę życzeń,
O które prosi świat.
Rok Nowy, będąc głodny,
Gdyż właśnie zaczął jeść,
Wysłuchał w sposób chłodny
Przeróżnych żądań treść
I, jak to się przydarza,
Gdy zbyt natrętna rzecz,
Zwymyślał sekretarza
I kazał mu iść precz!
Wtem nagle, gdy już mrokiem
Zarzucił złoty świt,
Przed jaśnie Nowym Rokiem
Z poselstwem stanął... żyd.
Nie mówiąc, czego życzy,
Szampana stawia kosz
I na stoliku liczy
Świeżego stempla grosz.
Rok Nowy to spogląda,
To groźny robi gest...
Lecz pyta: czego żąda
I z kąd z poselstwem jest?
Już żydek ośmielony
Wyjawiał, w czem jest rzecz,
Gdy dziedzic rozsrożony
Zawołał: „Za drzwi! precz!"
Lecz poseł stał jak wryty,
Zerkając tylko w bok...
I nagle twarz kobiety
Zobaczył Nowy Rok.
Pokraśniał dziedzic młody,
Oprawił w uśmiech brew
I zaraz pękły lody,
I stajał srogi gniew.
Pochwycił ją w pół pasa,
Jak wicher łączny kwiat,
I huknął: „Obertasa!"
I w pląsach ruszył świat!

El.

Straszna śmierć.



Straszną śmiercią zginął przed paru dniami we Wiedniu urzędnik Towarzystwa Ubezpieczeń od wypadków, Fryderyk Weymann, a główną przyczyną tego nieszczęśliwego wypadku był krótki wzrok, który nie jednej przykrości przysporzył zmarłemu w życiu.

Weymann zdążał do pewnego z adwokatów na ulicy górnego Dunaju, a przyszedłszy do kamienicy, w której mieściło się biuro prawniczego tego mecenasa, chcąc uniknąć niepotrzebnej fatygi, wsiadł do windy prosząc portyera, aby go wyekspedyował na drugie piętro. Portyer, p. Wagner, znający osobiście Weymanna, wiedząc, że ma krótki zwrok, chciał mu koniecznie towarzyszyć w tej powietrznej podróży, ale Weymann podziękował mu za troskliwość i sam pojechał. Wysiadając, nie dostrzegł, że platforma windy nie łączy się ściśle z korytarzem i postawił nogę w otchłań. W tej samej chwili, prawie równocześnie nacisnął dzwonek sygnalizujący, że winda jest opróżnioną i niepotrzebną. Winda w tej chwili ruszyła na dół, a Weymann nie zdołał się o nic zatrzymać i runął z dwu piętrowej wysokości na dół.

Nie trudno się domyśleć, że upadek był fatalny. Weymann na miejscu wyzionął ducha, a jak sekcya jego zwłok wykazała, nie było ani jednej kości, która byłaby całą....

Sprawa Kruppa.

„Arbeiter Zeitung“ pomieszcza artykuł, który wywołał wszędzie olbrzymią sensacyę.

Przedewszystkiem nie ulega żadnej wątpliwości, że Krupp zginął śmiercią nienaturalną. Co do motywów śmierci są zdania podzielone. Prasa gadzinowa rozgłasza, że przyczyną śmierci Kruppa były rewelacye „Vorwartsu“. Tymczasem aranżerzy sami wiedzą dobrze, że artykuł „Vorwärtsu“ nie wywarł na Kruppie żadnego wrażenia. Na kilka tygodni przed publikacyą „Vorwärtsu“ dowiedział się cesarz Wilhelm o ekscesach płciowych, popełnianych przez Kruppa na Capri, — dowiedział się od samej żony Kruppa, która przyszła do niego ze skargą na męża. Pani Krupp była oburzoną wiadomościami z Capri, ogłoszonemi przez prasę włoską.

Cesarz Wilhelm powziął, jak zwykle, szybkie postanowienie i zawyrokował: Trzeba Kruppa oddać pod kuratelę!

Groźba kurateli — była tym strasznym ciosem, który złamał Kruppa i rzucił w objęcia samobójczej śmierci. Artykuł „Vorwartsu“ był już tylko kroplą wody. Krupp, dowiedziawszy się o zamiarach Wilhelma, żył przez kilka tygodni w ustawicznej trwodze. Byłemu ministrowi marynarki Hollmannowi udało się wmówić w cesarza, że wieści o nadużyciach płciowych Kruppa są nieprawdziwemi. Wówczas zadecydował cesarz Wilhelm z równą jak poprzednio szybkością: W takim razie trzeba oddać pod kuratelę żonę Kruppa!

Istotnie zamknięto panią Krupp do domu waryatów. Usłużni lekarze odkryli, że pani Krupp cierpi w chwilach wzruszeń na brak pamięci. Trzymano ją trzy tygodnie w zakładzie dla obłąkanych i wypuszczono ją nagle wtedy, gdy Krupp nagle umarł. Z chwilą śmierci męża stała się znów poczytalną i przyjmowała liczne kondolencye cesarza, książąt, ministrów itd.

Sama śmierć Kruppa pokryta jest dotychczas tajemnicą. Trzech lekarzy znajdowało się właśnie w drodze z Berlina i Jenny do wilii Hügel koło Essen, aby naradzic się nad zdrowiem pani Krupp. Przed południem miało się odbyć konsylium; w noc przedtem umarł nagle Krupp, człowiek dotychczas zupełnie zdrowy. Konserwatysta Kardorff wygadał się w kuloarach parlamentu, że Krupp się zastrzelił.

Pamiętniki Girona.

Dziennik brukselski „Le Petit Bleu“ wysłał do Genewy sprawozdawcę dla wywiadu z Gironem.

Ten ostatni, podług opisu dziennikarza, jest uderzająco pięknym mężczyzną o zachowaniu spokojnem i nader wytwornem.

W sprawie swego stosunku do domu następcy tronu Giron opowiada: „Dowiedziawszy się, iż na dworze drezdeńskim wakuje miejsce guwernera, zwróciłem się do posła niemieckiego przy dworze brukselskim, hrabiego Wallwitza, o polecenie mnie. Następczyni nigdy i nigdzie przed objęciem obowiązków nie spotkałem. Przez czas 3-miesięcznego pobytu w stolicy wszystko szło swoim trybem“. Dopiero gdy książęca rodzina przeniosła się na letni pobyt do Wachwitz, Giron począł przyjmować ściślejszy udział w życiu rodzinnem. Powoli przyjaźń księżny zamieniła się w gorętszą życzliwość dla Girona, czego jednak ani król ani następca tronu zupełnie nie podejrzywali. To też pogłoski o nagłem uwolnieniu Girona są bezzasadne. Pierwsza wielka mistrzyni dworu, baronowa Foetsch, poznała rzeczywisty stan rzeczy i skłoniła Girona do dobrowolnego odjazdu w d. 12 listopada, grożąc inaczej uwiadomieniem króla i następcy tronu.

Wówczas to już księżna Ludwika oświadczyła Gironowi, iż stanowczo za nim pospieszy. W d. 14 listopada Giron udał się do Brukselli. Zgodnie z umową, księżna d. 9 grudnia miała wyjechać do Salcburga, a stamtąd do Monachium dla spotkania się z bratem, który miał jej towarzyszyć z powrotem do Salcburga. Z Salcburga Giron otrzymał telegram zapowiadający pomoc arcyksięcia w połączeniu Girona z księżną Ludwiką.

Wieczorem 12 z. m. na 15 minut przed północą, książęce rodzeństwo, spakowawszy co najpotrzebniejsze, bocznemi schodami opuściło zamek rodzicielski bez zwrócenia na się uwagi straży. Dalej Giron udzielił dziennikarzowi swego pamiętnika. Zawiera on między innemi następujące notatki: Trzynastego grudnia. W nocy z 11 na 12 opuszcza ona z bratem Salcburg, zabiera trochę bielizny i klejnotów w ręcznym kuferku. Karetka, zaprzężona w parę arabskich koni wiezie ją przy wspaniałym blasku księżyca i silnym mrozie. W Bischofshofen budynek stacyjny zamknięty. Czekają w sali trzeciej klasy. Nareszcie na Backs wyruszają do Zurychu.

14 grudnia. Jestem w Zurychu, ale spóźniony o 24 godziny. Przebyta przeto straszna noc. Wyjeżdżamy do Genewy.

21 grudnia. Byliśmy w teatrze i poczyniliśmy zakupy.

23. grudnia. Kupiłem dla niej choinkę.

Wynalazki waryatów.

Prawo patentowe, istniejące we Francyi od roku 1844-go, dozwala na wydawanie patentów wynalazcom bez poprzedniego zbadania ich wynalazków. Na dyplomie tylko urząd patentowy, zwany we Francyi „Bureau de brevets“, dodaje od siebie uwagę, że za dobroć i prawdziwość opisanego wyżej wynalazku nie bierze na siebie odpowiedzial-

ności. Dzięki temu, każdy ma do urzędu patentowego wstęp zupełnie wolny, czem się tłómaczy fakt, że urząd przez 58 lat swojego istnienia zdążył wydać patentów na 320.750 wynalazków. O wartości ich jednak świadczy następujących kilka wypisków z protokółu podawczego urzędu, które dowodzą dosadnie, że 94% wszystkich tych „patentowanych" wynalazków jest wytworem chorych bezsprzecznie mózgów.

I tak jeden kazał sobie opatentować samogrającą kuchnię dla torpedów i statków podmorskich zupełnie nowego systemu. Wynalazca skontruował taką kuchnię, która po ogrzaniu zaczyna grać. Muzyka przynęca ryby do statku podmorskiego, tak, że załoga nie potrzebuje się już obawiać śmierci głodowej z powodu braku żywności pod wodą. Wystarczy bowiem otworzyć klapę, a ryby, nęcone tonami grającej kuchni, same wpadną na stół kucharza.

Jeszcze ciekawszym jest „uniwersalny garnek zupy", który rozwiązuje zagadnienie zaprowiantowania twierdzy podczas oblężenia w ten sposób: na pagórku w samym środku miasta buduje się olbrzymi basen, wybrukowany porcelaną. Do basenu wrzuca się całe woły, krowy, cielęta, świnie, psy, koty i t. p. przyprawia to wszystko jarzyną i następnie gotuje na osobno skonstruowanem palenisku. Ugotowaną zupę rurami wodociągowemi przeprowadza się do każdego mieszkania, gdzie wystarczy tylko otworzyć kran, aby zupa popłynęła.

Innym patentowanym wytworem obłędu są „dystansowe syfony", o których wynalazca ich prawi: „Za pomocą moich daleko-nośnych syfonów dystansowych można w interesie publicznym przerzucać rzeki z ich naturalnych łożysk przez góry i doliny w całkiem inne okolice, potrzebujące obfitszego nawodnienia. Moje syfony mogą w krótkim czasie zmienić wygląd powierzchni". Wynalazca zażądał monopolu tylko na Francyę i kolonie. Co za skromność!...

Jakiś pan Saturnin Loubet obrał sobie za cel swej pracy wynalazczej — obronę ojczyzny i skontruował mający służyć do tego „defenzywno-ofenzywny i przemysłowo-naukowy aparat". Na czem on polega, z protokółu urzędowego nie można wywnioskować. Są to bowiem same wymyślania na dotychczasowych wynalazców, których p. Saturnin Loubet nazywa poprostu wisielcami, łotrami, oszustami i t p.

Inny wynalazca, Chonet, proponuje transportowanie towarów z Brukseli do Marsylii w wozach motorowych, biegnących po szklanej drodze i to koniecznie z czarnego szkła... Ten sam skontruował również olbrzymi „wóz karawanowy" do podróży przez Saharę, tudzież nowy — system filologii porównawczej, która pozbawi Anglików — wszystkich ich posiadłości kolonialnych.

„Perpetuum mobile" także jeszcze nie zniknło z głów przeróżnych waryatów, z których jeden opatentował niedawno nieznany zresztą „perpetualny automatyczny motor hydrauliczny".

Pan B. wynalazł aparat do tłómaczenia głosów zwierząt na język francuski i nazwał go „aparatem fonograficznym do pośrednictwa między zwierzętami a ludźmi". Takich i tym podobnych wynalazców zaregestrowano w francuskim urzędzie podatkowym dziesiątki tysięcy. Dla psychiatrów i historyków epoki współczesnej materyał to bardzo obfity.

Ostatnia spowiedź.

(Do ilustracyi tytułowej).

Nie spodziewał się nawet, że śmierć w sam Nowy Rok zaglądnie mu w oczy, a kiedy już poczuł jej chłodny uścisk, nie miał nadziei, że zdoła jeszcze pojednać się z Bogiem i jak prawy katolik zejść z tego świata — a jednak, choć był tylko biednym żebrakiem, otrzymał tę ostatnią pociechę, jakiej nieraz najwięksi magnaci są pozbawieni! Bóg pamięta o maluczkich, gdy są w nieszczęściu.

W Nowy Rok ubogi stary żebrak Jan Macu, cierpiący na głuchotę od lat kilku, z małym koszyczkiem w ręku zdążał torem kolejowym z Chrudów do Pardubic, chcąc tam zakupić trochę żywności. Prawie pod samymi Pardubicami dognał go pociąg osobowy; maszynista nie dojrzał skulonego żebraka, słabym krokiem wlokącego się przez środek toru, a biedny Macu nie dosłyszał huku nadjeżdżającego pociągu...

Lokomotywa w pędzie uderzyła biednego żebraka, zrzuciła go częścią z toru, a częścią zmiażdżyła kołami. Straszny jęk nieszczęśliwego zwrócił uwagę maszynisty, który, nie namyślając się, zaczął hamować pęd pociągu i o jakie trzysta metrów od miejsca wypadku zatrzymał go nakoniec.

Służba kolejowa wraz z jadącym w tym pociągu ks. Adamem, katechetą z Pardubic, pospieszyła do przejechanego żebraka. Macu, choć piersi miał zupełnie zmiażdżone i żebra połamane, żył jeszcze, z piersi wydobywał mu się cichy jęk, przechodzący chwilami w przedśmiertne charczenie. Na widok księdza wzrok przymglony rozjaśnił mu się radością; chciał się dźwignąć, chciał coś mówić, ale siły opuściły go kompletnie, nie był w stanie nawet słówka wyszeptać...

Ks. Adam chęci przyjął za uczynek, udzielił konającemu rozgrzeszenia i zaczął wraz z służbą kolejową odmawiać pacierze za konających. W kilka minut dusza żebraka uleciała w niebiańskie krainy, a nad martwymi zwłokami stała w milczeniu grupka ludzi, cichym szeptem powtarzająca sobie szczęśliwe ostatnie chwile nieszczęśliwej ofiary wypadku.

Telegramy „Kuryera krakowskiego"

z dnia 3 stycznia.

Lwów. Słowo Polskie dowiaduje się, że p. Modrzejewska otrzymała z poważnej strony (?) propozycyę objęcia teatru we Lwowie, a to na wypadek, gdyby dyrektor Pawlikowski nie chciał albo nie mógł prowadzić teatru podczas drugiego trzechlecia od października r. 1903.

Artystka przyjęła do wiadomości zaszczytną propozycyę, oświadczając przedewszystkiem, że projekt mógłby przyjść do skutku jedynie w razie ustąpienia p. Pawlikowskiego, oraz zastrzegła sobie termin do kwietnia dla stanowczej odpowiedzi.

Oczywiście, pisze dalej Słowo Polskie, powyższa kombinacya, obejmująca również i teatr krakowski, zależna jeszcze od różnych okoliczności i warunków, mogłaby przyjść do skutku najwcześniej w jesieni roku 1903. (No, my z naszej strony nie życzymy żadnemu z teatrów kobiety-dyrektora. Red.)

Wiedeń. Cesarz najwyższem postanowieniem z dnia 30 grudnia z. r. względnie 2 stycznia b. r. nadał X. arcybiskupowi drowi Bilczewskiemu i X. metropolicie drowi Szeptyckiemu we Lwowie godność tajnych radców.

Wiedeń. Osławiony Wolf ogłasza w „Ostdeutsche Rundschau" artykuł, w którym zapowiada, że zbierający się dziś na konferencyę czesko-niemiecką przedstawiciele Niemców, zamieszkałych w Czechach, wcale nie są przedstawicielami swych rodaków. Uchwały zatem, jakie podejmą, nie będą wcale obowiązywać Niemców w Czechach zamieszkałych, którzy w przyszłości zachowają się w miarę okoliczności.

Drezno. Król Jerzy jest umierający. Córka jego, arcyksiężna austryacka, Marya Józefa, żona arcyks. Ottona, przyjeżdża dziś do łoża umierającego ojca.

Petersburg. Arcybiskup metropolita Kłopotowski wczoraj komunikował się i przyjął Ostatnie Olejem Św. namaszczenie. Noc całą spędził spokojnie, lecz bez snu. Uderzenia serca zadowalające. Stan ogólny, jak dotąd, nie budzi obaw niebezpieczeństwa.

Madryt. Członek akademii, Catarello, ogłasza w dzienniku „Heraldo", że on jest autorem anonimowego listu do ambasady francuskiej, zawiadamiającego o przebywaniu Humbertów w Madrycie. Catarello oświadcza dalej, że przyrzeczone mu 25000 franków nagrody rozdzieli w pewnej części między ajentów madryckiej policyi tajnej, następnie pewną kwotę da odźwiernemu domu, w którym mieszkali Humbertowie, a resztę odda do rozporządzenia „Komitetowi dobroczynności pań" w Madrycie.

Madryt. Catarello wyzwał na pojedynek p. Carillo, również członka akademii, ponieważ tenże oświadczył że rezygnuje z godności członka akademii, nie chcąc kolegować z p. Catarello, który jest denuncjantem.

Barcelona. Strajk robotników okrętowych rozszerza się coraz bardziej i przybiera poważny charakter. Strajkujący nie pozwalają pracować chętnym do pracy. Skutkiem tego policya poczyniła wiele aresztowań.

Lizbona. Kortezy otwarto mową tronową, która wyraża zadowolenie z dobrych stosunków Portugalii do wszystkich mocarstw, wspomina o przyjęciu, jakiego doznał król wszędzie podczas swej podróży, zapowiada reformy wojskowe i t. d.

Londyn. „Daily Telegraph" donosi z Gibraltaru, że brat sułtana marokańskiego dowodzący całą armią królewską, opuścił dnia 27 grudnia z. r. miasto Fez, celem zaatakowania powstańców.

Tanger. „Agencya Havasa" donosi, że sułtan Abdul Azis, pomimo porażki poniesionej, rozporządza jeszcze 15.000 żołnierzy. W Fezie panuje już głód, ludność jest wzburzona.

Waszyngton. Na wczorajszej radzie gabinetowej oznajmił sekretarz stanu Hay, iż dotychczas nie nadeszła od żadnego z mocarstw odpowiedź na ostatnie pismo prezydenta Castro. Zdaje się jednak, że dalszem prowadzeniem rokowań załatwi się ostatecznie spór.

Zwracamy uwagę naszych P. T. Czytelników na dodatkową wkładkę, zawiadamiającą o otwarciu restauracyi p. Bednarczyka w hotelu Saskim.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca:
Kazimierz Bartoszewicz.

NADESŁANE.

(Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi i Redakcya nie przyjmuje za nią żadnej odpowiedzialności).

Drobne ogłoszenia

Drukarnia i stereotypia A. Koziańskiego w Krakowie.